

## **W obronie państwa minimum**

Autor tekstu: **Paweł Leszczyński**

### cz. 1

**W** niniejszym artykule podejmuję rozważania dotyczące źródeł koncepcji państwa - minimum, jego umiejscowienia na współczesnej mapie podziałów politycznych, jak również jego fundamenty, które wzniesli najwybitniejsi filozofowie społeczni i polityczni. Opisuję także pokrótce bezsens szeregu problemów, które rozgrzewają każdego dnia opinię publiczną tylko dlatego, że pozwoliliśmy, w wymiarze cywilizacyjnym, na nieracjonalny rozrost aparatu państwowego. W części 2 przedstawię, także na podstawie dostępnych danych, do czego doprowadziło powszechne porzucenie tego modelu oraz pokażę potencjalne współczesne warianty takiego państwa w odniesieniu do sfer, które wydają się być nieodwracalnie naznaczone obecnością aparatu państwa (edukacja, służba zdrowia, emerytury, etc.). Istnieją w historii idei, myśli społecznej i życiu narodów takie dylematy, które zdają się być nierozstrzygalne, tudzież ich weryfikacja z racji złożoności życia społecznego jest niezwykle trudna. Niezależnie od tego, że wahadło wychyla się raz w jedną, raz w drugą stronę, to założenia weberowskich „typów idealnych” pozostają w mocy. Nie ma bowiem możliwości, by jakikolwiek model ziścił się w pełni w kształcie odpowiadającym zapisanemu na papierze projektowi. Jako jeden z takich właśnie dylematów jawi się kwestia państwa-minimum, podnoszonego przede wszystkim w kręgu liberałów klasycznych modelu państwa i jego relacji w stosunku do jednostki i społeczeństwa. Uwzględniając uniwersalizm doktryny liberalnej łatwo zrozumieć, dlaczego dystans względem jednoznacznego prymatu i słuszności tej koncepcji wykazują przedstawiciele środowisk nacjonalistycznych i konserwatywnych. Nacjonalizmów jest bowiem tyle, ile narodów, zaś konserwatyzm jest wprawdzie nurtem mającym nieco szerszą paletę wartości, których należy strzec zawsze i wszędzie, ale dodatkowe jego wewnętrzne zróżnicowanie na konserwatyzm ewolucyjny i tradycjonalistyczny sprawia, że stosunek do zmiany społecznej, a więc także poziom estymy dla poszczególnych tradycji czy rozwiązań ustrojowych, bywa odmienny.

Z kolei druga uniwersalistyczna spośród kwartetu porewolucyjnych doktryn idea, a więc socjalizm, negację dla minimalnego rządu ma zapisaną w swoim DNA. Radykalni socjaliści i komuniści uznawali bowiem państwo za przejściowe narzędzie destrukcji kapitalizmu i sformowania społeczeństwa bezklasowego, zaś pogodzeni z ogólnością zwycięstwem kapitalizmu socjaldemokraci widzą w państwie narzędzie korekty wolnego rynku, spłaszczania nierówności społecznych, ale także dostarczyciela usług publicznych i pełnoprawnego aktora na polu społecznym i gospodarczym. Ponieważ od powstania głównych prądów myśli politycznej minęły już ponad 2 wieki, ich założenia zaczęły się w pewnej mierze dezaktualizować. Niektórzy są nawet zdania, że tradycyjny podział na prawicę i lewicę nie ma najmniejszego sensu. W kontekście ostatnich wydarzeń na scenie politycznej zarówno w Europie, jak i USA, nie sposób odmówić takim głosom racji. Za prawicę w powszechnym odczuciu uchodziły bowiem dotąd siły akcentujące w sferze aksjologicznej religię, tradycję i rodzinę, na płaszczyźnie ekonomicznej promowały wolny rynek, ograniczony interwencjonizm rządu w sferę gospodarki, zaś w zakresie politycznym podkreślały konieczność obrony interesu narodowego (niekoniecznie interpretując naród jako wspólnotę przede wszystkim etniczną). W wymiarze epistemologicznym prawica opowiadała się za uznaniem czynnika irracjonalnego w ludzkiej konstrukcji umysłowej i wykazywała sceptycyzm względem nieograniczonych możliwości tegoż umysłu. Lewica dla odmiany, wierzyła, iż pozbawiony wpływu dogmatów (przede wszystkim religijnych), zabobonów czy tradycji człowiek, jest w stanie sukcesywnie odkrywać i uzasadniać to, co do tej pory uchodziło za niewyjaśnione. Lewicowcy w kwestiach moralności byli dużo bardziej elastyczni, tradycję pojmowali jako przeszkodę na drodze postępu, dalecy byli od sakralizacji rodziny, a także od przypisywania jej kluczowej roli w pożądanym modelu społecznym. Rynek nie był dla nich bytem samoregulującym się, a raczej wymagającym regulacji, bez których nieuniknione stałyby się skutki jego nieefektywności, na czele z zabójczymi monopolami. Zamiast do idei narodu, lewica z czasem odwoływała się do kategorii społeczeństwa, uznając je za być bardziej podatny na realizację inkluzywnej wersji polityki, dalekiej od kategoryzacji podług odmienności narodowej, religijnej, płciowej, rasowej czy seksualnej.

Ten uproszczony podział nigdy nie był wolny od mankamentów, bo przecież francuscy rewolucjoniści z lubością odwoływali się do emocji narodowych, kapitalizm wydawał im się systemem

radykalnie wolnościowym w porównaniu ze skostniałym i opartym na tradycji, hierarchii oraz sztywnych strukturach społecznych feudalizmem, z kolei wspierająca monarchię czy arystokrację prawica często opowiadała się za protekcyjną polityką gospodarczą. Wątpliwości odnośnie zasadności pierwotnych rozróżnień ideowych nie maleją w świetle wydarzeń absolutnie najświeższych. Uważane za prawicę w Polsce PiS realizuje bowiem program szerokich reform w zakresie polityki społecznej, prawa strona sceny niemieckiej, a więc CDU i Merkel bronią konsensusu sprzed dekad przejawiającego się stabilną konstrukcją społecznej gospodarki rynkowej (rozumianej jednakże w myśl prawdziwej doktryny chadeckiej, z realnie obowiązującą zasadą pomocniczości, co ułatwia federalny model państwa), zaś zwycięzca wyborów prezydenckich w USA Donald Trump z Partii Republikańskiej postuluje daleko idące ograniczenia wolnego handlu, celem ochrony rodzimego rynku. Stosunek do imigrantów także różni wyżej wymienionych przedstawicieli prawicy, gdyż Prawo i Sprawiedliwość jest tutaj wysoce sceptyczne, Trump otwarcie wrogi, zaś Merkel wprost przeciwnie — stała się symbolem najbardziej otwartej polityki w tym zakresie, choć dziś (pod naporem nastrojów społecznych) się z niej wycofuje. By jeszcze zniuansować i skomplikować sytuację, nie sposób nie wspomnieć o Francji, gdzie faworytem do prezydentury stał się Francois Fillon, były premier z Partii Republikańskiej, postulujący wolnorynkowe reformy (cięcie świadczeń socjalnych, zwolnienia w administracji, wydłużenie czasu pracy, obniżka podatków) i jednocześnie konserwatywny w sferze społecznej (przeciwnik małżeństw homoseksualnych, jawny katolik, deklarujący obronę instytucji tradycyjnej rodziny). Biorąc pod uwagę etatyzm i polityczną poprawność wynikające wprost z nowożytnej historii Francji, zdawałoby się, że taki kandydat jest bez szans. A jednak, w partyjnych prawyborach zmiażdżył lidera ugrupowania i byłego prezydenta Sarkozy'ego oraz wyraźnie zdystansował centrystę, bardziej umiarkowanego byłego premiera Alain'a Juppe'a. Jeśli dodać do tego, że wielce prawdopodobne jest w tej sytuacji starcie Fillon — Le Pen w II turze majowych wyborów, to możemy zastanawiać się zupełnie na poważnie, co stało się ze znaną nam Francją.

Szerokie rozważania doktrynalne to jednak temat na osobny artykuł, warto jednak wspomnieć, że antyuniwersalizm prawicy skutkuje niejednoznacznością treści postulatów poszczególnych jej przedstawicieli w różnych miejscach świata, z kolei w erze globalizacji mariaż części lewicy światopoglądowej z przedstawicielami biznesu i wielkiego kapitału skutkowało powstaniem sprzecznego na pierwszy rzut oka lewicowego liberalizmu, łączącego cechy liberalizmu socjalnego (a niekiedy nawet akceptacji neoliberalizmu, jak w czasach Schroedera w Niemczech i Blair'a w Wielkiej Brytanii) w sferze ekonomicznej z mniej lub bardziej radykalną wersją lewicowości społecznej. Gdzie tu zatem miejsce dla obrońców państwa — minimum i z której strony barykady w ogóle należy oczekiwać takiej postawy? Zdaje się, że staje się to domeną wolnorynkowych konserwatystów, kanapowych ugrupowań libertariańskich czy też poszczególnych frakcji w tzw. mainstreamowych partiach prawicowych, które wolnościowe elementy programu muszą równoważyć skierowaną do masowego wyborcy ofertą socjalną. Niezmiennie idea państwa — minimum nie znajduje uznania na lewicy, pryncypialnie związanej z ideą państwa rozwiązującego większość problemów społecznych, do czego potrzebne są przecież odpowiednie zasoby kadrowe i finansowe, mające posłużyć do identyfikacji i zaradzenia owym problemom.

Ideą, na łonie której zrodził się pomysł państwa — minimum, był jednak klasyczny liberalizm. Nie sposób go umieścić po prawej stronie tradycyjnej osi podziału, nie znajdzie się dlań miejsce także po lewej. Liberalowie postulują bowiem uznanie wolności jako nadrzędnej wartości w życiu społecznym, także z punktu widzenia działalności państwa. Wolność jest tutaj jednak niepodzielna, zawiera więc w sobie zarówno wolność gospodarczą, jak i wolność słowa, sumienia, wolność obywatelską. Przywiązani do religii i tradycji prawicowcy niechętnie poprą postulat absolutnej równości wszystkich wyznań, zazwyczaj opowiadając się za uznaniem szczególnej roli tego lub tych, które były obecne w historii danego narodu. Postulat wolności gospodarczej w swej ogólności zyska najczęściej przychylną prawej strony sporu. Na lewicy będzie odwrotnie, w sferze religijnej, moralnej, człowiek winien dysponować najszerszą możliwą autonomią, zaś jeśli chodzi o jego byt społeczny, to niezbędna jest tutaj szeroka opieka państwa. Broniący wolności religijnej, jak i gospodarczej liberalowie klasyczni muszą zatem pozostać gdzieś w okolicach centrum. Nie można na poważnie rozważać opisywanego tematu bez odwołania się do klasyków myśli liberalnej czy wolnościowej. By nie multiplikować niepotrzebnie zbieżnych przemyśleń, odwołam się krótko w tym miejscu do 3 z nich: Adama Smitha, Johna Stuarta Milla, oraz Alexis'a de Tocqueville'a.

Wbrew stereotypom Adam Smith nie zajmował się jedynie ekonomicznym wymiarem ludzkiej egzystencji. Był on przede wszystkim filozofem moralności i pod tym kątem analizował także rzeczywistość gospodarczą. Jej kształt wpływał nie z dogmatów czy przesądzeń konkretnej szkoły ekonomicznej, lecz z namysłu nad optymalnym ujęciem elementarnych wartości w kontekście relacji

jednostka - społeczeństwo. W eseju „O sprawiedliwości i dobroczynności” Smith pisał m.in.: „W każdej części wszechświata widzimy, jak narzędzia z niezrównanym mistrzostwem dopasowane są do celów, które mają sprawić; czy to w mechanizmie rośliny, czy w ciele zwierzęcia obserwujemy, jak każda rzecz obmyślona została, aby służyła dwóm celom natury: przetrwaniu jednostki i utrzymaniu gatunku.” Metafory i porównania funkcjonowania społeczeństwa do świata zwierzęcego są w filozofii społecznej dość powszechne, w naukach społecznych swego czasu triumfy święciła socjologia, której przedstawiciele daleko idące analogie w tym zakresie eksponowali szczególnie zaciekle. Świat przyrody jest bowiem przestrzenią, której obce są zewnętrzne regulacje, a wszystko toczy się swoim rytmem. Oczywiście, ludzie to nie zwierzęta ani rośliny, ale chciałoby się w tym momencie aż wykrzyknąć, że skoro one nie potrzebują trzymającego pieczę nad wszystkim regulatora, to być może dysponujący odpowiednimi możliwościami intelektualnymi człowiek również potrzebuje go w mniejszym zakresie, aniżeli ma to miejsce w praktyce. Człowiek jest także istotą zdolną do stworzenia czegoś, co nazywamy wspólnotą. Niezależnie, czy uznamy, że źródła tejże wspólnoty mają charakter utylitarny czy też wynikają z „naturalnych” skłonności ludzkich do bycia istotą społeczną, to nie sposób wyobrazić sobie takowej wspólnoty bez choćby podstawowych reguł, wytworzonych i uznawanych przez członków zbiorowości. W tym kontekście Smith pisze: „Nie da się jednak utrzymać społeczności, gdy jej członkowie w każdej chwili gotowi są na siebie naskoczyć, wyrządzić szkodę. Ledwie tylko pojawi się pierwsza krzywda, ledwie rozgorzeje wzajemna niechęć i wrogość, zaraz pękają wszystkie spoiny, gwałt zaś i przeciwne ukierunkowanie namiętności niczym potężny cios rozrzuca dawnych członków wspólnoty na wszystkie strony.” Jak widać, szkocki filozof nie bez racji argumentuje, że w samym społeczeństwie musi istnieć konsensus odnośnie praktykowania ładu, pokoju i wzajemnego poszanowania. Jest to warunek sine qua non przetrwania nie tylko zbiorowości, ale także poszczególnych jednostek. Do argumentu biologicznego został dobudowany ten wynikający z rozumnej kalkulacji.

Jednakże, uprzedzając zarzuty tych, którzy w powyższych spostrzeżeniach Szkota widzą wyłącznie odwołanie do niskich instynktów, tudzież koniunkturalizmu, trzeba uzupełnić analizę o jeden jeszcze cytat: „Wszyscy członkowie ludzkiej społeczności wzajem zdani są na swoją pomoc, co zarazem odsłania ich na wzajemne krzywdy. Tam, gdzie pomoc owa dyktowana jest przez miłość, wdzięczność, przyjaźń i szacunek, rozkwita i szczęśliwi się wspólnota. Wszyscy tak przecież różni jej członkowie są spajani więzami miłości i sympatii, jakby przyciągani byli do wspólnego centrum wzajemnego świadczenia dobra.” W tym fragmencie najpełniej widoczne jest to, że Smith miał wyrobioną opinię w zakresie modelu relacji międzyludzkich, sposobu traktowania drugiego człowieka i była to opinia, którą bez wątpienia mogłoby podzielić większość przedstawicieli myśli chrześcijańskiej, konserwatywnej i wielu innych. Jednak fakt dostrzegania takiej właściwej drogi wzajemnego traktowania się ludzi nie skłaniał Szkota do konstatacji, że państwowy regulator ma tutaj pełnić jakąś istotną rolę. To sam, tworzony przez wolne w swych działaniach jednostki, organizm społeczny, ma rozróżniać właściwe postawy od niewłaściwych i premiować w odpowiedni sposób pierwsze kosztem drugich (z wyjątkiem czynów kryminalnych). Z kolei od jakości tejże selekcji będzie zależała jakość funkcjonowania całej zbiorowości.

Najsilniej kojarzony z ideą utylitarysty John Stuart Mill w eseju „O wolności” zwraca uwagę na aspekt przepoczwarczenia mentalnego członków społeczeństwa z poddanych w obywateli: „Jednak w postępie spraw ludzkich nadszedł czas, gdy ludzie przestali uważać za konieczność natury to, że rządzący nimi powinni mieć niezależną władzę, której interesy są przeciwne ich własnym interesom. Uznali, że będzie znacznie lepiej, jeśli różni urzędnicy państwowi będą pełnomocnikami lub delegatami odwoływalnymi zgodnie z ich wolą.” Bardzo ważne jest tu zastrzeżenie, w którym mowa de facto o tym, że urzędnicy państwowi i cała administracja są wynajmowani przez wyborców do zajmowania się sprawami wspólnoty, ale tylko tymi, które przekraczają możliwości jednostki. Rozszerzanie wpływów aparatu państwowego na sfery, w których człowiek, rodzina czy społeczność lokalna dobrowolnie mogą wypracować odpowiednie rozwiązania i znaleźć wyjście jest nieuprawniona i wyklucza możliwość nazwania takiego państwa demokratycznym, a społeczeństwa wolnym.

Jeszcze dosadniej Mill formułuje postulat dominacji pewnej reguły moralnej, przełożonej na format ustrojowy, a dotyczącej prawa ingerencji rządu w życie jednostki. Owa reguła brzmi następująco: „Celem niniejszego szkicu jest dobitne sformułowanie jednej bardzo prostej zasady, która powinna bezwarunkowo rządzić wszelkimi działaniami społeczności wiążącymi się z przymuszaniem i kontrolowaniem jednostki (...), zasada ta brzmi, że jedynym celem, który usprawiedliwia wtrącanie się, indywidualnie lub zbiorowo, ludzkości w wolność działania jakiegokolwiek jej członka jest samoobrona, że jedynym celem, którego osiągnięcie uzasadnia

sprawowanie władzy nad jakimkolwiek członkiem cywilizowanej społeczności wbrew jego woli, jest zapobieżenie krzywdzie innych. Jego własne dobro, fizyczne lub moralne, nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem. Nie można zasadnie zmusić go do uczynienia lub zaniechania czegoś, ponieważ tak będzie dla niego lepiej, ponieważ uczyni go to szczęśliwym, ponieważ zdaniem innych będzie to mądre, czy nawet słuszne." Wielokrotnie zarzuca się liberałom egoizm, brak empatii, gotowość do odarcia człowieka z godności w imię abstrakcyjnie rozumianej wolności. Warto zadać w tym miejscu pytanie, czy można wykazać się większym egoizmem, brakiem empatii i lekceważeniem godności drugiego człowieka (wraz z jego autonomią i wolnością wyboru) niż wtedy, gdy robimy coś w jego życiu bez jego zgody? To właśnie tego dotyczy ta fundamentalna reguła i tego dotyczy słynna, przejęta przez środowiska wolnościowe formuła „chcącemu nie dzieje się krzywda”.

Perwersyjna satysfakcja z pomagania wbrew woli jest wyrafinowaną formą egoizmu, niesłusznie widzianą jako najczystsza forma altruizmu. Dlatego wynajęty przez społeczeństwo urzędnik czy przedstawiciel władzy publicznej jest ostatnią osobą, która winna odpowiadać za diagnozowanie i rozwiązywanie tzw. „problemów społecznych”. Nie oznacza to konieczności wyrzucenia państwa z absolutnie wszystkich dziedzin. Ale dość oczywistym wydaje się stwierdzenie, że tych dziedzin powinno być zdecydowanie mniej, niż ma to miejsce dzisiaj i że w większości z nich obecność władzy jest zbędna, a wręcz szkodliwa. Szkodliwa nie tylko z punktu widzenia finansów publicznych, a zatem nie wyłącznie pod względem twardej ekonomii, ale również dla kondycji obywatelskiej tkanki i jej sprężystości. O problemie rozleniwienia, błogości i letargu społeczeństwa obywatelskiego pisał 2 wieki temu przenikliwy badacz amerykańskiej demokracji (a także m.in. minister spraw zagranicznych II Republiki), autor słynnego dzieła „O demokracji w Ameryce”. W pracy „Jaki rodzaj despotyzmu zagraża demokratycznym narodom” Francuz pisał: „Wydaje się, że gdyby w dzisiejszych demokratycznych społeczeństwach zapanował despotyzm, miałby on odmienne oblicze. Byłby bardziej rozpowszechniony i mniej groźny, podporządkowywałby człowieka, nie dręcząc go nadmiernie (...) Kiedy próbuję sobie wyobrazić ten nowy rodzaj despotyzmu zagrażający światu, widzę nieprzebrane rzesze identycznych i równych ludzi, nieustannie kręcących się w kółko w poszukiwaniu małych i pospolitych wzruszeń, którymi zaspokajają potrzeby swojego ducha. Każdy z nich żyje w izolacji i jest obojętny wobec cudzego losu; ludzkość sprowadza się dla niego tylko do rodziny i najbliższych przyjaciół; innych współobywateli, którzy żyją tuż obok, w ogóle nie dostrzega; ociera się o nich, ale tego nie czuje. Człowiek istnieje tylko w sobie i dla siebie i jeżeli nawet ma jeszcze rodzinę, to na pewno nie ma już ojczyzny.”

Koncentracja de Tocqueville’a na problematyce jakości społeczeństwa obywatelskiego jako instytucji koniecznej dla przetrwania państwa — minimum czy ustroju prawdziwie republikańskiego wynika z diagnozy, którą ten historyk i socjolog postawił, a mianowicie, że na dłuższą metę nie jest możliwe pogodzenie wolności z równością, zwłaszcza w kontekście realizowania quasi — równościowych oczekiwań masowego wyborcy przez władzę publiczną. A ponieważ rozszerzanie prawa wyborczego prowadziło nieuchronnie do realnego umasowienia demokracji (zjawiska, względem którego liberałowie klasycy byli równie sceptyczni, co względem monarchii, przeciwko której przecież niezwykle ostro występowali), to i żądania kolejnych grup społecznych odnośnie zaspokojenia ich potrzeb przez rząd stawały się coraz powszechniejszym zjawiskiem. Druga strona medalu jest jednak równie nieunikniona. Otóż, społeczeństwem takim dużo łatwiej manipulować i poddawać je kontroli. Wszystko to, co dzisiaj wydaje nam się oczywiste, zastane (a niektórym wystarczy to do twierdzenia, że dobre i potrzebne), czyli istnienie dowodów osobistych, praw jazdy, numerów PESEL, podatków dochodowych, państwowych programów nauczania, restrykcyjnych reguł bezpieczeństwa czy najogólniej rzecz biorąc bardzo rozbudowanego prawodawstwa, jeszcze nie tak dawno (biorąc pod uwagę historię ludzkości) byłoby nie do pomyślenia. Nie wszystkie te instytucje są godne potępienia, ale wiele z nich ciężko uznać za synonim postępu, a z pewnością można je postrzegać jako postępujące zniewolenie, przede wszystkim zniewolenie umysłów. Jak gorzko konstatawał legendarny dla polskiej myśli wolnościowej Stefan Kisielewski: „(...) najgorsza z niewoli jest ta, której już nikt nie dostrzega”.

Powszechne narzekania na gnuśność, bezmyślność i brak aktywności współczesnych społeczeństw demokratycznych wynika także z tego, że obywatele nie postrzegają tej aktywności jako koniecznej, nie ma dla nich przestrzeni, by mogli stać się prawdziwie równoważącą względem władzy siłą, ci nieliczni zapaleńcy stają się jedynie skromnym uzupełnieniem. Podsumowując ten fragment rozważań należy stwierdzić, że państwo — minimum ma swoje uzasadnienie zarówno moralne, jak i pragmatyczne. Jego rzecznicy powinni powoływać się na oba filary, gdyż liberalizm w patrzeniu na państwo nie oznacza anarchii, cynizmu i nihilizmu, lecz wprost przeciwnie, odwołuje się do prawdziwych cnót, których wykorzystywanie przez przystrojonych w piórka wyższej moralności wszelkiej maści etatystów musi budzić niesmak, a dla obywateli oznacza obudzenie

kolejnych wielkich nadziei, zwieńczone pasmem kolejnych rozczarowań.

Jakich dylematów i problemów moglibyśmy, w wymiarze społecznym, uniknąć, gdyby państwo — minimum było panującym modelem w Rzeczypospolitej? Są ich setki, ja postanowiłem wybrać 3, od najmniej istotnego i najbardziej zabawnego do najważniejszego i najmniej śmiesznego. Po pierwsze, lektura ostatnich wydań dwóch popularnych tygodników opinii, reprezentujących dwie strony światopoglądowej i politycznej barykady uświadomiła mi, jak kapitalne znaczenie ma sformułowanie programu nauczania przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie, przez niektórych zwane wychowaniem seksualnym. Prof. Urszula Dudziak, odpowiadająca z nadania Ministerstwa Edukacji Narodowej za przygotowanie podstawy programowej w tym zakresie udzieliła wywiadu „Do Rzeczy”, a jednocześnie znalazła się pod ostrzałem „Polityki”. Czytelnik chcący sobie wyrobić opinię ma nie lada problem, gdyż jedna strona traktuje Panią Profesor jako zbawienie (być może w sensie dosłownym) polskiej szkoły i opokę przed zepsuciem, a druga jako zło wcielone, synonim ciemnoty i średniowiecznych reform. Dość zacytować tylko pierwsze pytanie z wywiadu prawnicowego tygodnika oraz fragment artykułu liberalno-lewicowej konkurencji: „Część mediów straszyla, że katolicka fundamentalistka — czyli pani — zajmuje się teraz jako ekspertka MEN opracowaniem podstawy programowej wychowania do życia w rodzinie. Przecież dotychczasowa podstawa tego przedmiotu szkolnego na każdym etapie jest w zasadzie konserwatywna. To chyba się nie zmieni?” — pyta dziennikarz „Do Rzeczy”, Łukasz Zboralski. Cały wywiad jest prowadzony w podobnym duchu. Z kolei autorka artykułu w „Polityce”, Elżbieta Turlej, raczy czytelników następującymi spostrzeżeniami: „Wróg czai się też poza pokojem nauczycielskim. Może wejść do szkół pod postacią prelegentów czy studentów organizujących pogadanki np. o AIDS. Dlatego wszystkich z zewnątrz — z wyjątkiem studentów KUL i toruńskiej uczelni Ojca Rydzyka — należałoby poddać rozmowom diagnostycznym, przeprowadzanym przez zespoły szkolne z katechetami na czele.”

Ciężko mieć pretensje o to, że publicyści (a to inna kategoria niż dziennikarze, przynajmniej teoretycznie) piszą w zgodzie z linią pisma i z własnymi poglądami. Nie o to jednak w kontekście tematu głównego chodzi. Zamiast stawać po jednej albo drugiej stronie, zależnie od tego, która z nich lepiej wpisuje się w nasze schematy myślowe, lepiej zastanowić się, czy aby na pewno scentralizowane na poziomie administracji rządowej zarządzanie umysłami kilkulatek to jest to, czego chcielibyśmy w wolnym społeczeństwie. Nieważne, jaką treść będzie miał ten program nauczania, bo to jest uzależnione wyłącznie od tego, kto sprawuje władzę. Ważne, żeby obywatele zobaczyli, że kształt systemu jest absurdalny. Co jest większą utopią: oczekiwanie, że w jakimś ministerstwie jakiś pełnomocnik opracuje genialną miksturę, w postaci optymalnego dla absolutnie wszystkich uczniów w Polsce programu nauczania tego i wszystkich innych przedmiotów, czy też jednak głęboka decentralizacja i chociaż częściowe urynkowienie usług edukacyjnych, także w zakresie programowym? To oczywiste, że żadna władza sama z siebie nie będzie chciała pozbyć się tak ważnego aspektu kontroli nad obywatelami od najwcześniejszego możliwego etapu ich życia, niemniej jednak ci, którzy chcieliby właśnie takiej rezygnacji, powinni te postulaty artykułować jak najgłośniej.

W innym razie, 50% nie zrozumie tekstu w żadnym z tygodników, 22% stanie się żarliwymi obrońcami Pani Profesor, 22% będzie z niej dworować, a 1% wołać na pustyni o rozsądek. I żeby była jasność, ani obrona bohaterki publikacji nie jest dowodem konserwatyzmu, ani atak na nią świadectwem liberalizmu. To po prostu 2 odcienie etatyizmu, z których jeden jest tradycjonalistycznie — religijny, a drugi laicko — postępowy. Wolność zaś leży zupełnie z boku tego sporu. Nieco poważniejszym, acz również dość groteskowym elementem krajowej debaty publicznej jest kształt i permanentny kryzys Telewizji Publicznej. Ma być ona niedofinansowana, pozbawiona misji, upolityczniona etc. To instytucja, która jak żadna inna po każdym kolejnym wyborach jest „zawłaszczana” i tak dziwnie się składa, że o zawłaszczenie zawsze oskarża rząd aktualna opozycja. Telewizja publiczna to bowiem w istocie telewizja państwowa, uczestnicząca w bardzo bezpośredniej formie w bieżącym sporze politycznym. To doskonały przykład instytucji, która mając teoretycznie służyć obywatelom poprzez dostarczanie im najbardziej wiarygodnych informacji, rozrywki na przyzwoitym poziomie oraz prezentować ofertę edukacyjną czy kulturalną, jest poddana wpływom nawet nie tyle politycznym, co partyjnym i środowiskowym. To niestety wyklucza jakąkolwiek partycypację obywatelską w projektowaniu konstrukcji publicznej tylko z nazwy nadawcy. Dlatego trzeba zapytać, czy w dobie internetu istnienie telewizji opłacanej z podatków obywateli ma jeszcze sens? Czy z punktu widzenia racjonalności ekonomicznej nie jest to jedna z tych instytucji, które spokojnie można uznać za niekonieczne? Czy pełne urynkowienie mediów rzeczywiście uniemożliwia równowagę opinii? Brak odważnych decyzji w tej sferze zaowocuje kontynuacją jałowych sporów polityków o to, kto bardziej upolitycznił media publiczne, komu wysługują się dziennikarze, czy

media mają być narodowe czy też nie (cokolwiek to znaczy), czy mogą przynosić straty nawet wtedy gdy nie realizują misji (cokolwiek to znaczy), etc. Dlatego naciski na polityków w celu wytrącenia im narzędzia uprawiania propagandy politycznej kosztem społeczeństwa uważam za zasadne i potrzebne, także jeśli chodzi o likwidację bezsensownego tematu zastępczego, niepotrzebnie angażującego opinię publiczną.

Najpoważniejszym i najmniej zabawnym spośród dobranych problemów jest jakość rodzimego systemu podatkowego. Ponieważ politycy mają pełną swobodę w proponowaniu i wdrażaniu kolejnych „niezbędnych” wydatków, to logicznym tego następstwem jest łapczywe poszukiwanie pokrycia budżetowego tychże. Miejsce Polski w międzynarodowych rankingach porównawczych (jak choćby Paying Taxes) nie jest jednak świadectwem dobrej jakości tej strategii. Odwołując się do tworzonych rokrocznie przez Fundację Republikańską „Mapy wydatków państwa” w roku 2015 całościowe wydatki wyniosły ponad 744 miliardy złotych, z czego emerytury i renty pochłonęły ponad 236 miliardów (prawie 32%), zdrowie 79 miliardów (prawie 11%), edukacja 68 miliardów (9%), infrastruktura 67 miliardów (9%). Co ciekawe, wydatki na pomoc społeczną (45 miliardów, ponad 6% wszystkich wydatków) ponad dwukrotnie przewyższyły środki przeznaczone na naukę i szkolnictwo wyższe (21 miliardów, niespełna 3%). Co jest przyczyną tak monstrualnych kwot idących na poszczególne sfery? Przede wszystkim taki sposób organizacji i zarządzania nimi, który w większości z nich stawia państwo faktycznie w roli monopolisty, a co najmniej gracza realnie utrudniającego funkcjonowanie inicjatywom prywatnym. Nie doszukamy się jednak w głównym nurcie debaty publicznej zbyt wielu głosów nawołujących do weryfikacji, a następnie ograniczenia ponoszonych przez państwo, częściowo z kieszeni obywateli, a częściowo na kredyt wzięty w ich imieniu, za to bez ich zgody i świadomości, wydatków. Mowa oczywiście jest o ich racjonalizacji, lepszym i sprawniejszym zarządzaniu, odchudzeniu czapy biurokratycznej i tym podobnej kosmetyce, wynikającej z inspiracji teoriami w stylu New Public Management. Szalenie mało jest jednak głosów prawdziwie racjonalnych, które oprócz ograniczenia marnotrawstwa proponują spojrzenie prawdzie w oczy i uświadomienie sobie, że długotrwałe życie na ogromny kredyt (tegoroczny deficyt budżetowy to 59 miliardów złotych, dług publiczny sięga biliona złotych), zwłaszcza w momencie konieczności zmian strukturalnych gospodarki i uruchomieniu motorów wzrostu, a także zapaści demograficznej skutkującej niekorzystnymi proporcjami zatrudnionych a tymi, którzy nie pracują, spowodują katastrofę, która za kilkanaście, może kilkadziesiąt lat spadnie na barki coraz mniej licznej populacji młodych ludzi w Polsce. Stąd konieczność radykalnego uproszczenia i obniżenia podatków. Czy da się to zrobić bez uszczerbku na jakości edukacji, służby zdrowia czy wojska? Bez wątplenia, jeżeli państwo zrezygnuje z bycia właścicielem całej infrastruktury oraz roli pracodawcy wszystkich pracowników tych i innych sfer, a także dopuści mechanizmy konkurencji na wszystkich szczeblach zarządzania tymi wielkimi systemami. Szerzej o tej kwestii będę pisał w 2 części rozważań.

Biorąc pod uwagę kiepską sterowność współczesnych państw, ich ewidentne przeciążenie ilością zadań, brak kompetencji do zarządzania poszczególnymi sektorami życia obywateli, a także utrudnioną w związku z tym działalność państwa tam, gdzie jest ona bezsprzecznie pożądana, powrót do intelektualnych korzeni państwa — minimum oraz odświeżenie i uwspółcześnienie tej koncepcji jawi mi się jako nieunikniony. Alternatywami są ekspansja populizmu, który ma swoje źródło m.in. właśnie w rozbudzonych apetytach ludu albo ciągle poprawianie tego, co wymaga radykalnej zmiany. Pierwsza opcja być może przyspiesza katastrofę, ale druga uczyni ją boleśniejszą.

### **Paweł Leszczyński**

Pochodzi z Radomia, mieszka od 6 lat w Warszawie. Absolwent studiów I stopnia w zakresie socjologii na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, student zarządzania (II stopień) w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie oraz nauk politycznych (II stopień) na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 2012-2014 Prezes oddziału warszawskiego stowarzyszenia Studenci dla Rzeczypospolitej, zaś w latach 2014-2016 Prezes Zarządu Głównego tej organizacji. Od lutego 2016 jest członkiem Gabinetu Politycznego Ministra Energii.



[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 18-12-2016)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,10072) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,10072>)

Contents Copyright © 2000-2015 Mariusz Agnosiewicz  
Programming Copyright © 2001-2015 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.  
Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)